

MARIAN PRZEŁĘCKI

(Kraków)

ZWIERZENIA INTYMNE

Poznawszy bliżej Profesora Mariana Przełęckiego (1923–2013) – i zaskarbiwszy sobie, jak mam podstawy sądzić, Jego zaufanie – stałam się adresatką wielu Jego „zwierzeń intymnych”, do których skądinąd bardzo Go namawiałam: tym bardziej, im więcej się o Nim z Jego własnych ust dowiadywałam.

Mimo wielokrotnych prób skłonienia Profesora Przełęckiego do własnoręcznego spisania owych „zwierzeń” w formie pamiętnika, nic takiego ostatecznie nie powstało. Na kanwie tych „zwierzeń” Profesor Przełęcki napisał jednak kilka miniatur autobiograficznych, które przekazał mi z zastrzeżeniem, że nie mogą być ogłoszone przed Jego śmiercią.

I oto 9 sierpnia 2013 roku ten smutny warunek został spełniony.

Uznałam, że jedna z owych miniatur – podarowana mi pięć lat temu – szczególnie pasuje do „Kwartalnika Filozoficznego”: pisma, które Profesor Przełęcki cenił, i w którym pod koniec życia sam publikował.

Mam nadzieję, że kiedy po jakimś czasie oswoję się z odejściem tego niezwykłego w naszej kulturze – i w moim osobistym życiu – Człowieka, uda mi się zrekonstruować nasze rozmowy, z których na szczęście robiłam notatki zaraz po ich zakończeniu, i będę mogła je przedstawić szerszej publiczności.

Anna Brożek

Osiemdziesiąt pięć lat życia – sędziwy wiek, którego, wydawało mi się, nigdy nie dożyję – skłania do refleksji nad przeżyтыми latami i nad samym sobą. Toteż odczuwam potrzebę zrobienia czegoś w ro-

dzaju generalnego rachunku sumienia. Jego istotnym składnikiem byłoby coś, co można nazwać moim duchowym autopoportretem. Ukazywać on powinien rysy takie, jak: mój typ osobowości, moja wizja życia, mój ideał życiowy, a także – *last but not least* – moje „grzechy”. Dobrze byłoby przy tym poprzedzić to krótką historią mojego „życia duchowego”, która by tłumaczyła pewne cechy mojej osobowości. Aby uniknąć zbytniego ekshibicjonizmu, będę się starał ograniczyć tę historię do ogólnej tylko charakterystyki głównych okresów mojego życia: dzieciństwa, młodości i wieku męskiego.

Z góry powiedzieć muszę, że ta charakterystyka nie odpowiada słynnej Mickiewiczowskiej wizji życia, wyrażonej tak przejmująco w jego liryku *Polaty się lzy*. Mojego dzieciństwa nie nazwałbym „anielskim”, mojej młodości – „górną”, a mojego wieku męskiego – „wiekiem kłęski”. Linia mojego życia przebiegała inaczej. Dzieciństwo i młodość niepozbowione były przeżyć przykrych i trudnych, a wiek męski – spokojnych i szczęśliwych. Częściowo dlatego, że trzeba było dopiero nauczyć się tego, jak żyć – jak dawać sobie radę ze swymi fizycznymi i psychicznymi słabościami.

W dzieciństwie otoczony byłem serdeczną i troskliwą – zbyt troskliwą chyba – opieką rodziców. W jakimś stopniu spowodowane to było stanem mego zdrowia: różnego rodzaju dolegliwościami, do których należały np. częste i silne ataki migreny (nękające mnie od szóstego roku życia przez lat ponad dwadzieścia). Toteż rodzice wozili mnie do znanych lekarzy i do znanych kurortów, gdzie przepisywano mi różnorodne zabiegi lecznicze. Nie przeszkadzało to na szczęście wyjazdom z nimi do atrakcyjnych miejsc turystycznych – przede wszystkim do Zakopanego. Nigdy jednak nie wyjeżdżałem sam; nie brałem udziału w żadnych obozach harcerskich czy koloniach szkolnych.

Wszystko to przyczyniło się do tego, że moje zetknięcie się ze szkołą publiczną (dość późne, bo dopiero od klasy czwartej) było doświadczeniem przykrym. Obcy był mi szkolny rygor, raziło mnie ordynarne i agresywne niekiedy zachowanie kolegów. Nie przejmowałem się, co prawda, tym zbyt, bo moi rodzice – niepedagogicznie zresztą – sami się o tej szkole z lekceważeniem wyrażali. Sytuację też ułatwiał mi fakt, że z nauką szkolną nie miałem nigdy żadnych trudności (choć nie byłem przykładem typowego „prymusa”). Lepiej czułem się w starszych klasach gimnazjalnych (zwłaszcza koedukacyjnych), kiedy udało mi się nawiązać bliższe i serdeczniejsze stosunki koleżeńskie.

W tym czasie nastąpiła, po okresie dojrzewania, wyraźna zmiana mojego usposobienia: z żywego chłopca stałem się poważnym mło-

dzieńcem, zamiłowanym w głębokich lekturach i samotnych rozmyślniach. Przyczyniła się do tego pewna właściwość młodości, sprawiająca, iż jest to okres szczególnie trudny. Właściwością tą jest nieumiejętność obcowania z innymi ludźmi, będąca wynikiem braku dostatecznego doświadczenia życiowego. Z biegiem lat dopiero uczyłem się, jak pokonywać trudności w kontaktach z innymi – jak pozbyć się początkowej nieporadności, jak zwalczyć swoją nieśmiałość. U mnie trudności te powodowały w młodości skłonność do samotności, do oddawania się w tej samotności kontemplacji estetycznej, filozoficznej, religijnej.

„Wiek męski” ma pod tym względem wyższość nad młodością. Ponieważ łatwiej nam obcować z ludźmi, nasze kontakty z nimi stają się cenniejsze – bogatsze i głębsze. Prawdziwym zaś źródłem szczęścia staje się miłość i przyjaźń. Dla mnie źródłem głębokiej satysfakcji stała się też praca zawodowa – naukowa i dydaktyczna praca na uniwersytecie. W przeciwieństwie do nauki szkolnej bardzo odpowiadały mi studia uniwersyteckie; od początku dawały mi wiele zadowolenia – i pod względem naukowym i koleżeńskim. W rezultacie – mimo nieuniknionych nieszczęść losu – mój „wiek męski” nie był bynajmniej „wiekiem kłęski”. Był – odważę się powiedzieć – czasem szczęśliwym. Na urok tego życia – obok miłości i twórczości – składały się takie, szczególnie cenne dla mnie wartości, jak obcowanie z przyrodą i obcowanie ze sztuką. Cudowne wakacje, spędzane zwykle w naszych górach, i cudowne chwile zachwyty nad arcydziełami literatury i muzyki.

Te wszystkie uroki mego życia wymagają pewnego istotnego zastrzeżenia, które najkrócej wyrazić można tak oto. To szczęśliwe życie przebiegało i przebiega w cieniu „metafizycznej grozy”. Wyjaśnienie tego dramatycznego zwrotu wymaga odwołania się do metafizycznej wizji życia, jaka w pewnym momencie mojego życia stała się moim udziałem. Objawiła mi się wtedy cała kruchość i nędza ludzkiego istnienia; zrozumiałem, że (jak pisze Gombrowicz) „o piekło ocieramy się na każdym kroku”. Uderzył mnie niewyobrażalny ogrom cierpienia wszystkich istot czujących. Odczułem w sposób przejmujący, że każdy człowiek jest istotą budzącą litość, zasługującą na współczucie i miłosierdzie. Stąd wziął się mój ideał etyczny: ideał etyki litości, będącej laicką interpretacją ewangelicznej etyki miłości bliźniego.

Postać, jaką ta idea etyczna przybiera w moim przypadku, zależna jest niewątpliwie od rodzaju mojej osobowości. Osobowość ta – jak to zwykle bywa – jest w jakimś stopniu wrodzona, a w jakimś nabyta; naszkicowany przeze mnie zarys mojego „życia duchowego” miał

wyjaśniać częściowo owe nabyte cechy mojej osobowości. Przysługują jej pewne właściwości, które realizację wspomnianej „etyki litości” czynią pod pewnym względem czymś naturalnym i spontanicznym. Zaliczyłbym do nich moją instynktowną i głęboką niechęć do wszelkiej sytuacji konfliktu i walki. Związany z tym jest brak uczuć negatywnych wobec bliźnich, takich zwłaszcza jak nienawiść, pogarda, zawiść, czy chęć odwetu. Niczego pod tym względem w sobie przewycięzać nie musiałem.

Ale to tylko jedna – bierna – strona miłości bliźniego, postulowanej przez ową „etykę litości”. Druga – czynna – strona tej miłości polegać ma na pomocy naszym bliźnim w ich nieszczęściu – na obronie ich przed istniejącym lub grożącym cierpieniem. Nie wystarczy współczuć cierpiącemu; trzeba zrobić wszystko, co można, aby go od tego cierpienia uwolnić. Otóż rodzaj mojej osobowości sprawia, że realizacja tego postulatu miłości czynnej jest dla mnie zadaniem nadzwyczaj trudnym. Toteż w mojej praktyce życiowej daleki jestem od jego wypełnienia. Jeżeli mam mówić o swoich „grzechach” (jak to na wstępie zapowiedziałem), to muszę powiedzieć, że ta właśnie postawa życiowa jest moim „grzechem” największym. Skłonny do współczucia, nie jestem skłonny do walki z tym, co jest jego ostateczną przyczyną.

Jednym ze źródeł tej bierności jest moja, wspomniana wyżej, odraza do wszelkiego rodzaju walki – do otwartego przeciwstawiania się komukolwiek i czemukolwiek. Sytuacja taka sprawia mi przykrość tak wielką, że instynktownie staram się jej uniknąć. Ważniejszą jednak – i znacznie bardziej „grzeszną” – przyczyną takiej postawy jest po prostu moje tchórzostwo: obawa przed grożącymi mi, bolesnymi konsekwencjami tego rodzaju walki. Nie należę niestety do ludzi odważnych. Ze wstydem wyznać muszę, że nie odważyłbym się rzucić na ratunek napadniętemu przez bandytę przechodniowi.

Wszystko to sprawia, że zawarty w wyznawanej przeze mnie „etyce litości” postulat miłości czynnej, realizowany jest w moim życiu w sposób wyraźnie ograniczony. Prawdę mówiąc, ogranicza się on w praktyce do osób mi najbliższych. W stosunku do nich tylko usiłuję zrobić wszystko, co mogę, aby je uchronić od cierpienia, ale bo też ich cierpienie – to również cierpienie moje. Poza tymi sytuacjami szczególnie, moją postawę moralną mógłbym scharakteryzować cynicznie, mówiąc, iż dobroć gotów jestem świadczyć wtedy, kiedy mnie to niewiele kosztuje.

Podstawowe rysy mojej osobowości determinują również to, co nazwać można moim ideałem eudajmonistycznym – ideałem życia

szczęśliwego. Próbowałem określić ów ideał porównując go do Epikurejskiej koncepcji szczęścia (w jej autentycznej, a nie popularnej wersji). Według niej, warunkiem życia szczęśliwego jest wolność od bólu i lęku. Szczęście osiągamy nie w pogoni za przyjemnościami i dobrami tego świata, będącymi ich źródłem, lecz w spokoju ducha, w którym dochodzi do głosu nasza wrodzona, wewnętrzna radość istnienia. Toteż szczęście zależy tylko w niewielkim stopniu od czynników zewnętrznych. „Mając chleb i wodę, pławię się w cielesnej błogości” – zapewnia (nie bez pewnej przesady) mędrzec epikurejski. Otóż coś z tego spojrzenia na życie i tej wobec niego postawy jest i mnie bliskie. Powoływałem się kiedyś na wiersz Miłosza *Dar*, który podobną ideę szczęśliwości wyraża w sposób prosty i piękny. Dzisiaj na to upragnione życie w „ogrodzie Epikura” patrzę trochę inaczej. Dostrzegam pewne jego braki i jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że jest to życie dla mnie trudno osiągalne.

Takim brakiem epikurejskiego życia szczęśliwego jest swoisty rodzaj jego bierności. W innym swym wierszu, noszącym tytuł *O aniołach*, zwierza się Miłosz z tego, jak co rano budzi go anioł wezwaniem: „Zaraz dzień / jeszcze jeden / zrób co możesz”. Mnie, w moim „ogrodzie Epikura”, nikt takim wezwaniem nie budzi. Nie dążę więc do tego, aby „zrobić wszystko, co mogę”, aby „nie zakopywać powierzonych mi talentów”. Pragnienie „świętego spokoju” jest silniejsze niż moje życiowe ambicje. Stąd też mizerne raczej owoce nie tylko mojej pracy twórczej, ale również moich działań w innych dziedzinach aktywności. Obawiam się, że i to stanowi jeden z „grzechów”, jakie słusznie można mi zarzucić. Pocieszam się tylko tym, że grzech lenistwa zajmuje w hierarchii „grzechów głównych” miejsce ostatnie.

Ale wobec mojej próby osiągnięcia epikurejskiego ideału szczęścia można mieć nie tylko pewne zastrzeżenia natury moralnej. Należy zdać sobie sprawę z tego, że w moim przypadku taka próba nigdy całkowicie powieść się nie może. Epikurejskie szczęście dostępne ma być tylko temu, kto jest „wolny od lęku”. A ja warunku tego nie spełniam – choć, jak chciał Epikur, wolny jestem w pewnym sensie od „lęku przed bogami i przed śmiercią”. Nie wolny jednak jestem od lęku przed życiem samym. Metafizyczna wizja życia, która jest moim udziałem, uprzytamnia mi jaskrawo słabość i „okaleczalność” ludzkiej egzystencji. Lękam się więc życia – mimo wszystkich jego uroków – i w pewnych decydujących momentach cofam się przed nim bojaźliwie. Mój anioł, zamiast nakazywać mi cokolwiek, pociesza mnie tylko słowami: „Nie bój się”.

Jak widać, mój stosunek do świata cechują poczucia sprzeczne. Z jednej strony, owa „epikurejska” wewnętrzna radość istnienia – zachwyty nad cudem przyrody, cudem miłości, cudem twórczości. Jednocześnie jednak ten cudowny świat okazuje się światem pełnym niewyobrażalnego cierpienia; stąd lęk przed nim, poczucie bezsilności i przejmujące uczucie litości. Czy można jakoś pogodzić te przeciwstawne intuicje? Otóż wyznać muszę, że są w moim życiu takie chwile niezwykle (nie waham się je nazwać „mistycznymi”), w których dochodzi do czegoś w rodzaju wielkiego pogodzenia się ze światem i ze swoim własnym losem. To uczucie pogodzenia się jest przy tym połączone ze swoistym poczuciem dystansu do wszystkiego, co się w tym świecie dzieje. Najwierniej i najpiękniej wyraża to przeżycie Mickiewiczowski liryk *Nad wodą wielką i czystą*. Przypomnieniem tego ukochanego mego wiersza chciałbym zamknąć te swoje „zwierzenia intymne”.